

# 1

Nazywam się Serena Frome (rymuje się z *plume*\*) i przed niespełną czterdziestu laty zostałam wysłana z tajną misją przez brytyjskie tajne służby. Nie wróciłam z niej bezpiecznie. Osiemnaście miesięcy po wstąpieniu do służby zostałam zwolniona, okrywając się hańbą i niszcząc mojego kochanka, choć on też z całą pewnością przyłożył rękę do swojej zguby.

Nie będę traciła czasu na opisywanie dzieciństwa i wczesnej młodości. Jestem córką anglikańskiego biskupa i dorastałam wraz z siostrą w cieniu katedry w uroczym miasteczku na wschodzie Anglii. Mój dom był miły, kulturalny, porządny, pełen książek. Rodzice dosyć się lubili i mnie kochali, a ja kochałam ich. Między moją siostrą Lucy i mną było półtora roku różnicy i jako nastolatki strasznie się kłóciłyśmy, potem jednak nie żywiłyśmy do siebie urazy i jako dorosłe kobiety

---

\* *Plume* (ang.) — pióro (duże i kolorowe), pióropusz.

byłyśmy ze sobą blisko. Ojcowska wiara w Boga była dyskretna i rozsądna, nie miała większego wpływu na nasze życie, ale wystarczyła, by ojciec gładko awansował w kościelnej hierarchii i mógł zamieszkać wraz z nami w wygodnym domu w stylu królowej Anny. Jego okna wychodziły na wirydarz ze starymi kwiatowymi bordiurami, które dobrze znali i nadal znają specjaliści od roślin. Zatem wszystko stabilne, godne zazdrości, niemal idylliczne. Dorastałyśmy w otoczonym murem ogrodzie, ze wszystkimi przyjemnościami i ograniczeniami, które za tym idą.

Koniec lat sześćdziesiątych rozjaśnił naszą egzystencję, lecz jej nie zakłócił. Nie opuściłam ani jednego dnia nauki w miejscowej *grammar school*, chyba że chorowałam. Zanim skończyłam dwudziestkę, przez ogrodowy mur przeszwarowało się trochę „ostrych”, jak je wówczas nazywano, pieszczot, eksperymenty z tytoniem, alkoholem oraz niewielką ilością haszyszu, płyty rockandrollowe, jaśniejsze kolory oraz cieplejsze relacje międzyludzkie. Mając siedemnaście lat, moje przyjaciółki i ja nieśmiało i uroczo się buntowałyśmy, zarazem jednak odrabiałymy pilnie lekcje i uczyłyśmy się na pamięć czasowników nieregularnych, równań oraz motywów postępowania bohaterów literackich. Lubiliśmy uchodzić za niegrzeczne dziewczynki, lecz w gruncie rzeczy byłyśmy raczej grzeczne. Ogólne podniecenie, jakie dało się wyczuć w 1969 roku, sprawiało nam pewną radość. Łączyła się z nią świadomość, że wkrótce nadejdzie pora, by opuścić dom i kontynuować edukację gdzie indziej. Podczas pierwszych osiemnastu lat mojego życia nie wydarzyło się nic szczególnego bądź strasznego i dlatego je pomijam.

Gdyby to ode mnie zależało, wybrałabym spokojne studia na wydziale anglistyki jakiegoś prowincjonalnego uniwersytetu, daleko na północ albo na zachód od domu. Lubiłam czytać powieści. Czytałam szybko — mogłam połączyć dwie albo trzy w ciągu tygodnia — i robienie tego przez trzy lata bardzo mi odpowiadało. W tamtych czasach uważano mnie jednak za wybryk natury: dziewczynę, która ma talent do matematyki. Nie byłam zainteresowana tym przedmiotem, sprawiał mi niewielką przyjemność, lecz lubiłam przodować i zbytnio się przy tym nie przepracowywać. Znałam odpowiedzi na pytania, zanim zdążyłam odkryć, jak na nie wpadłam. Podczas gdy moje koleżanki rachowały w pocie czoła, ja dochodziłam do rozwiązania kilkoma płynnymi krokami, które były częściowo widoczne, a częściowo polegały po prostu na wyczuciu tego, co właściwe. Trudno wyjaśnić, skąd wiedziałam to, co wiedziałam. Egzamin z matematyki wymagał ode mnie o wiele mniej wysiłku niż egzamin z literatury angielskiej. Poza tym w ostatniej klasie byłam kapitanem szkolnej drużyny szachowej. Musicie wyteńczyć nieco wyobraźnię historyczną, by zrozumieć, co w tamtych czasach oznaczało dla dziewczyny jeżdżenie do sąsiedniej szkoły i strącanie z piedestału jakiegoś uśmiechającego się szyderczo chłopaczka. Tak czy inaczej, matematykę i szachy, podobnie jak hokej, plisowane spódniczki i śpiewanie hymnów uważałam za czysto szkolne rzeczy. Uznałam, że myśląc o edukacji uniwersyteckiej, powinnam zerwać z tą dziecinadą. Jednak nie skonsultowałam tego z matką.

Była kwintesencją lub karykaturą żony pastora, a później biskupa, z niesamowitą pamięcią do nazwisk, twarzy i wsze-

lakich bolączek parafian, w tym, jak żeglowała ulicą w szaliku od Hermesa, i jak uprzejmie, lecz jednocześnie z dystansem traktowała pomoc domową oraz ogrodnika. Nieskazitelnym urokiem na każdym społecznym szczeblu, w każdej tonacji. Z jakim wyczuciem i taktem potrafiła dostosować się poziomem do wiecznie skrzywionych, palących jak lokomotywy kobiet z osiedli mieszkaniowych, które przychodziły do krypty na spotkania Klubu Młodych Matek. W jak niedościgniony sposób czytała w naszej bawialni opowieść wigilijną siedzącym u jej stóp malcom z domów dziecka Barnarda. Z jaką wrodzoną stanowczością pozwoliła się wyluzować arcybiskupowi Canterbury, który kiedyś wstąpił do nas na podwieczorek po poświęceniu odbudowanej fasady katedry. Na czas jego wizyty Lucy i mnie wysłano na górę. Wszystkie te rzeczy — i to dopiero stanowiło nie lada sztukę — łączyła ze skrajnym oddaniem i podporządkowaniem się sprawie mojego ojca. Promowała go, obsługiwała, torowała mu drogę na każdym zakręcie. Poczynając od ułożonych w pudełku skarpetek i wiszącej w szafie uprasowanej togi aż po odkurzony gabinet i niczym niezmaconą sobotnią ciszę w domu, gdy pisał kazanie. W zamian — oczywiście tylko się tego domyślam — domagała się wyłącznie, by ją kochał albo przynajmniej nigdy nie opuścił.

Nie miałam jednak pojęcia, że głęboko pod tymi konwencjonalnymi pozorami w mojej matce tkwiło małe twarde ziarno feminizmu. Jestem pewna, że to słowo nigdy nie padło z jej ust, ale to bez znaczenia. Przeraziło mnie jej zdecydowanie. Oświadczyła, że moim obowiązkiem jako kobiety jest studiować w Cambridge matematykę. Jako kobiety? W tam-

tych czasach, w naszym środowisku, nikt tak nie mówił. Żadna kobieta nie robiła czegoś „jako kobieta”. Powiedziała, że nie pozwoli, bym zmarnowała swój talent. Miałam się wybrać i stać kimś wyjątkowym. Miałam zrobić karierę na polu nauki, inżynierii lub ekonomii. Pozwoliła sobie na komunał, twierdząc, że świat leży u moich stóp. To nie w porządku wobec mojej siostry, że w przeciwieństwie do niej jestem i inteligentna, i piękna. Jeśli nie zajdę wysoko, wyrządę jej jeszcze większą krzywdę. Nie rozumiałam logiki tego wywodu, lecz nie oponowałam. Matka oświadczyła, że nigdy by mi nie wybaczyła i nie wybaczyłaby sobie, gdybym poszła na studia filologiczne i została co najwyżej trochę lepiej od niej wyedukowaną kurą domową. Groziło mi, że zmarnuję życie. Tak to ujęła, przyznając się w ten sposób do fiaska. Tylko ten jeden raz dała do zrozumienia, że nie jest zadowolona ze swojej sytuacji życiowej.

Następnie zwerbowała ojca, Biskupa, jak nazywałyśmy go razem z siostrą. Gdy wróciłam pewnego popołudnia ze szkoły, oznajmiła, że czeka na mnie w gabinecie. Ubrana w zielony blezer ozdobiony herbem i dewizą *Nisi Dominus Vanum* (Bez Pana wszystko jest marnością), rozsiadłam się nadąsana w jego klubowym skórzanym fotelu, a on zajął miejsce za biurkiem i starał się zebrać myśli, przerzucając papiery i nucąc pod nosem. Myślałam, że uraczy mnie przypowieścią o talentach, lecz on obrał zaskakującą i praktyczną taktykę. Okazało się, że zasięgnął języka. Cambridge zależało na tym, by uchodzić za uczelnię, która „otwiera się na nowoczesny egalitarny świat”. Z moim potrójnym pechem — świadectwem ukończenia *grammar school*, tym, że jestem dziewczyną oraz

wyborem całkowicie męskiego przedmiotu — mogłam mieć pewność, że się dostanę. Gdybym zamierzała jednak studiować tam filologię (co nigdy nie było moim zamiarem; Biskup nigdy nie był mocny w detalach), mogłoby nie pójść mi tak łatwo. W następnym tygodniu matka odbyła rozmowę z dyrektorem szkoły. Zaprzęgnięto kilku nauczycieli, którzy posłużyli się wszystkimi argumentami moich rodziców tudzież kilkoma własnymi i musiałam oczywiście ustąpić.

Porzuciłam więc zamiar studiowania anglistyki na uniwersytecie w Durham albo Aberystwyth, gdzie z całą pewnością byłabym szczęśliwa, i zamiast tego podjęłam studia w Newnham College w Cambridge, by w trakcie mojego pierwszego seminarium, które odbywało się w Trinity, przekonać się, jak marną jestem matematyczką. Trymestr jesienny sprawił, że wpadłam w przygnębienie i o mało nie rzuciłam studiów. Niezdarni chłopcy, którym Bóg poskąpił uroku oraz innych ludzkich przymiotów, takich jak empatia i gramatyka generatywna, sprytniejsi kuzyni głupków, których ogrywałam w szachy, zerkali na mnie z politowaniem, gdy zmagalam się z konceptami przez nich uważanymi za oczywiste.

— Oto najjaśniejsza panna Frome — mówił z przekąsem jeden z asystentów, gdy zjawiałam się co wtorek na jego zajęciach. — *Serenissima!* Niebieskooka! Chodź i nas oświeć!

Dla moich wykładowców i kolegów ze studiów nie ulegało wątpliwości, że nie odnoszę sukcesów, ponieważ jestem atrakcyjną dziewczyną w minispódniczce, z opadającymi na ramiona blond włosami. W rzeczywistości nie odnosiłam sukcesów, gdyż podobnie jak prawie cała ludzkość, nie byłam zbyt dobra z matematyki, przynajmniej nie na tym poziomie.

Robiłam wszystko, co w mojej mocy, by przenieść się na anglistykę, romanistykę, a nawet antropologię, ale nikt mnie nie chciał. Żeby nie przedłużać długiej i przykrew opowieści, powiem, że zacinawszy zęby, ukończyłam studia z oceną dostateczną.

Skoro nie rozwodziłam się zbytnio nad dzieciństwem i latami szczenięcymi, nie ma powodu, bym inaczej potraktowała okres studiów. Nigdy nie wybrałam się na przejażdżkę płaskodenną łodzią z gramofonem na korbkę lub bez, nie obejrzałam ani jednego spektaklu w Footlights — teatr wprawia mnie w zakłopotanie — ani nie dałam się aresztować podczas zamieszek przy Garden House. Już na pierwszym semestrze straciłam jednak dziewictwo — jak się wydawało, nie raz, lecz kilka razy, tak nieporadnie i bez słów się to odbywało — i w ciągu dziewięciu semestrów, w zależności od tego, jak zdefiniuje się stosunki cielesne, zaliczyłam sześciu, siedmiu lub ośmiu chłopaków. Zawarłam kilka bliskich przyjaźni ze studiującymi w Newnham dziewczynami. Grywałam w tenisa i czytałam książki. Matka sprawiła, że studiowałam zły przedmiot, ale nie przestałam czytać. W szkole rzadko czytałam poezję i dramaty, ale lektura powieści sprawiała mi chyba więcej przyjemności aniżeli moim uniwersyteckim przyjaciółkom, które musiały co tydzień ślęczeć nad esejami na temat *Miasteczka Middlemarch* lub *Targowiska próżności*. Ja połykałam te same książki, rozmawiałam o nich, jeśli znalazłam kogoś, kto tolerował mój poziom dyskursu, a potem szłam dalej. Czytanie było dla mnie sposobem, by nie myśleć o matematyce. Więcej, było sposobem, by nie myśleć w ogóle.

Wspomniałam, że byłam szybka. *The Way We Live Now* Trollope'a skończyłam w cztery popołudnia, leżąc w łóżku! Potrafiłam połknąć fragment tekstu lub cały akapit jednym wizualnym haustem. Moje oczy i myśli zmieniały się w miękki wosk, na którym odbijała się stronica. Ku irytacji towarzyszących mi osób co kilka sekund przewracałam kartkę niecierpliwym ruchem nadgarstka. Miałam proste potrzeby. Nie przejmowałam się tematami ani trafnymi sformułowaniami, omijałam wysublimowane opisy pogody, krajobrazów i wnętrza. Szukałam postaci, w które mogłabym uwierzyć, i chciałam, by zaciekało mnie to, co im się przydarza. Generalnie najbardziej lubiłam, kiedy ludzie zakochiwali się w sobie, względnie się odkochiwali, jednak nie przeszkadzało mi zbytnio, jeśli zajmowali się czymś innym. Oczekiwanie czegoś takiego było wulgarne, lubiłam jednak, gdy pod koniec ktoś prosił kogoś o rękę. Powieści bez postaci kobiecych były pozbawioną życia pustynią. Conrad w ogóle dla mnie nie istniał, podobnie jak większość opowieści Kiplinga i Hemingwaya. Reputacja autora nie robiła na mnie wrażenia. Czytałam wszystko, co wpadło mi w ręce. Szmirę, wielką literaturę oraz to, co mieściło się między tymi dwoma biegunami — i każdą pozycję traktowałam w taki sam brutalny sposób.

Jaka słynna powieść tak się zaczyna? *W dniu jej przyjazdu do Nowego Jorku temperatura przekroczyła trzydzieści stopni w cieniu*\*. Czy to nie chwytliwe? Nie znacie tej książki? Rozbawiłam moje studiujące anglistykę przyjaciółki z Newnham, oświadczając, że *Dolina lalek* jest nie gorsza od którejkolwiek z książek Jane Austen. Skwitowały to śmiechem

---

\* Jacqueline Susann, *Dolina lalek*, przekł. E. Górczyńska, A. Kraško, Da Capo, Warszawa 1994.



i przez kilka miesięcy mi docinały. I nie przeczytały ani jednej linijki Susann. Ale kogo to obchodziło? Kto przejmowałby się nieskrystalizowanymi opiniami marnej matematyki? Ani ja, ani moje przyjaciółki. Przynajmniej pod tym względem byłam nieskrępowana.

Kwestia moich czytelniczych nawyków podczas studiów nie jest dygresją. Właśnie te książki przyczyniły się do tego, że zrobiłam karierę w wywiadzie. Kiedy byłam na ostatnim roku, moja przyjaciółka Rona Kemp założyła tygodnik o nazwie „?Quis?”. Podobne przedsięwzięcia powstawały i upadały całymi dziesiątkami, ale jej pisemko wyprzedzało swój czas pomieszaniem wysokiego z niskim. Poezja i muzyka pop, teoria polityczna i plotki, kwartety smyczkowe i moda studencka, *nouvelle vague* i futbol. Dziesięć lat później tę formułę stosowali już wszyscy. Rona być może jej nie wymyśliła, ale była jedną z pierwszych, którzy dostrzegli jej atrakcyjność. Przeszła potem do „Vogue’a”, zahaczywszy po drodze o „Times Literary Supplement”, a później zaliczała spektakularne wzloty i upadki, zakładając nowe czasopisma na Manhattanie i w Rio. Podwójny znak zapytania w tytule jej pierwszego pisma był innowacją, dzięki której udało się wydać jedenaście numerów. Pamiętając o moim wystąpieniu na temat Susann, poprosiła, bym pisywała regularnie felietony pod nagłówkiem *Co czytałam w zeszłym tygodniu*. Miałam być „trzpiotowata i wszystkożerna”. Bułka z masłem! Pisałam tak, jak mówiłam, nie wykraczając na ogół poza streszczanie książek, które właśnie pochłonełam, i w świadomej autoparodii ozdabiałam wydawane co jakiś czas werdykty rządami wykrzykników. Moja beztroska aliteracyjna proza całkiem się

spodobała. Kilka razy podchodzili do mnie na ulicy obcy ludzie, by mi o tym powiedzieć. Pochwalił mnie nawet filuterny asystent z matematyki. Nigdy w życiu nie byłam tak bliska zakosztowania tego słodkiego, uderzającego do głowy eliksiru, jakim jest studencka sława.

Napisałam pół tuzina wesołych tekstów i coś zaczęło się psuć. Jak wielu autorów, którzy odnieśli umiarkowany sukces, zaczęłam traktować siebie zbyt poważnie. Byłam dziewczyną o nieukształtowanych gustach, z pustym umysłem do wzięcia. Jak powiedział ktoś w jednej z czytanych przeze mnie powieści, czekałam na Idealnego Wybranka, który pojawi się i mnie porwie. Moim Idealnym Wybrankiem stał się pewien surowy Rosjanin. Odkryłam autora i problematykę i stałam się ich entuzjastką. Nagle miałam temat oraz misję, której mogłam się podjąć. Zaczęłam poprawiać swoje teksty. Zamiast pisać prosto z głowy, skrobałam kolejne wersje. Moim skromnym zdaniem felietony do „?Quis?” stały się ważną służbą publiczną. Zrywałam się w nocy, by wykreślać całe akapity i rysować na kartkach strzałki i chmurki. Chodziłam na ważne marsze. Wiedziałam, że stracę czytelników, ale miałam to w nosie. To, że ich liczba się zmniejszała, świadczyło o tym, iż mam rację, to była heroiczna cena, jaką musiałam zapłacić. Moje teksty czytali niewłaściwi ludzie. Protesty Rony nie zrobiły na mnie wrażenia. Raczej utwierdzały mnie w mojej decyzji. „To nie jest specjalnie trzpiotowate”, oświadczyła chłodno któregoś popołudnia w Copper Kettle, oddając mi tekst. „Nie tak się umawialiśmy”. Miała rację. Gniew i niecierpliwość zawężyły moje zainteresowania i zdemolowały styl, w którym zabrakło miejsca na wykrzykniki i bezceremonialność.

Mój upadek zaczął się od pięćdziesięciu minut, które spędziłam z *Jednym dniem w życiu Iwana Denisowicza* w nowym przekładzie Gillona Aitkena. Przeczytałam to opowiadanie zaraz po *Ośmiornicze* Iana Fleminga. To było twarde łądowanie. Nie wiedziałam nic o sowieckich obozach pracy i nigdy wcześniej nie słyszałam słowa „gułag”. Dorastając w cieniu katedry, cóż mogłam wiedzieć o okrutnych absurdach komunizmu, o zesłanych do odległych kolonii karnych dzielnych mężczyznach i kobietach, których myśli zredukowano do codziennego przetrwania. Setkach i tysiącach ludzi wywiezionych w syberyjską głuszę za to, że walczyli o ojczyznę na obcej ziemi, że dali się wziąć do niewoli, że zirytowali jakiegoś działacza partyjnego, że sami byli działaczami partyjnymi, że nosili okulary, byli Żydami, homoseksualistami, chłopami mającymi jedną krowę albo poetami. Kto występował w imieniu wszystkich tych skazanych na zatracenie ludzi? Nie wiedziałam nic o sporach i rozczarowaniach starszego pokolenia. Nie słyszałam o Lewicowej Opozycji. Moja pozaszkolna edukacja ograniczała się do odrobiny dodatkowej matematyki i sterty książek w miękkich okładkach. Byłam niewinna, toteż targnęło mną moralne oburzenie. Nie używałam i w ogóle nie słyszałam słowa „totalitaryzm”. Sądziłabym pewnie, że ma coś wspólnego z odmawianiem drinka. Odbierając depesze z zapomnianego frontu, wierzyłam, że uchylałam zasłonę, otwieram nowe horyzonty.

W ciągu tygodnia przeczytałam *Krag pierwszy* Solżenicyna. Tytuł nawiązywał do Dantego. Jego pierwszy krag piekła, zarezerwowany dla greckich filozofów, był, tak się składało, miłym ogrodem, za którego murem zadawano ludziom piekiel-

ne męki, ogrodem, z którego nie wolno było uciec ani dostać się do raj. Popeniłam typowy bład entuzjastów, uznając, że wszyscy s takimi samymi ignorantami jak ja. Mój felieton stał si trybun, z ktrej wygłaszalam płomienne apele. Czy zadowolone z siebie Cambridge nie wie, co działo si i nadal dzieje cztery i pł tysiąca kilometr na wschd, czy nie zauważyło szkd, jakie ta niespełniona utopia kolejek po żywność, okropnych ubra i zakazu podrzowania wyrzdziła ludzkiemu duchowi? Co należało zrobić?

„?Quis?” wytrzymało cztery rundy mojej antykomunistycznej batalii. Zainteresowałam si równie *Ciemnośc w południe* Koestlera, *Nieprawym godłem* Nabokova i znakomitym traktatem Miłosza pod tytułem *Zniewolony umysł*. Byłam take pierwsz osob, ktra zrozumiała *1984* Orwella. Na zawsze jednak pozostałam wierna mojej pierwszej miłości, Aleksandrowi. Z jego czołem wznoszącym si niczym kopuła cerkwi, potężn brod wiejskiego pastora, potwierdzonym w gułagu mrocznym autorytetem i upart alergi na polityków. Nie powstrzymały mnie nawet jego przekonania religijne. Wybaczyłam mu, kiedy powiedział, że człowiek zapomniał o Bogu. Sam był Bogiem. Ktż mógł si z nim równać? Ktż mógł odmówić mu nagrody Nobla? Patrząc na fotografię Sołżenicyna, chciałam zostać jego kochank. Słuyłabym mu tak, jak matka słuyła mojemu ojcu. Czy prałabym mu skarpetki? Klękałabym, by obmyć mu stopy. Językiem!

W tamtych latach zachodni politycy i autorzy wstępników rutynowo rozwodzili si nad niegodziwościami systemu sowieckiego. W kontekście studenckiego życia i studenckiej polityki wydawało si to po prostu lekko niesmaczne. Skoro

CIA była przeciwko komunizmowi, musiało w nim być coś pozytywnego. W Partii Pracy nadal czczono podstarzałych kremlowskich władców i ich makabryczny projekt, na corocznych zjazdach nadal śpiewano *Międzynarodówkę*, nadal organizowano studencką wymianę kulturalną. W zimnowojennym okresie binarnego myślenia nie wypadało zgadzać się w kwestii Związku Sowieckiego z amerykańskim prezydentem, który prowadził wojnę w Wietnamie. Jednak podczas tamtego podwieczorku w Copper Kettle, Rona, już wówczas taka wyrafinowana, wyperfumowana i precyzyjna, oświadczyła, że w moich felietonach wcale nie razi jej polityka. Moim grzechem była szczerość. W następnym numerze nie zamieszczono mojego tekstu. Jego miejsce zajął wywiad z Incredible String Band. A potem „?Quis?” przestał wychodzić.

• • •

Parę dni po wylaniu mnie z pisma weszłam w fazę Colette, która trwała kilka miesięcy. Miałam także inne pilne zmartwienia. Do końcowych egzaminów zostało mi tylko kilka tygodni i miałam nowego chłopaka, historyka nazwiskiem Jeremy Mott. Reprezentował pewien szczególny staroświecki typ: tyczkowaty, z wielkim nosem i za dużym jabłkiem Adama. Był trochę zaniedbany, dyskretnie bystry i wyjątkowo grzeczny. Zauważyłam w pobliżu kilku podobnych do niego osobników. Wszyscy pochodzili chyba z tej samej rodziny i ukończyli szkoły publiczne na północy Anglii, gdzie wydano im takie same ubrania. Byli ostatnimi ludźmi na ziemi, którzy nosili tweedowe marynarki Harrisa ze skórzanymi łatami na

łokciach i lamówkami na mankietach. Dowiedziałam się — choć nie od Jeremy’ego — że powinien chyba ukończyć studia z wynikiem celującym i że opublikował już artykuł w naukowym czasopiśmie poświęconym studiom nad XVI wiekiem.

Okazał się czułym i taktownym kochankiem mimo niefortunnej, ostro sterczącej kości łonowej, która za pierwszym razem przysporzyła mi sporo bólu. Przeprosił za nią w sposób, w jaki przeprasza się za obłąkanego, lecz dalekiego krewnego. Przez co rozumiem, że nie był szczególnie zakłopotany. Uporaliśmy się z tym problemem, kochając się ze złożonym między nami ręcznikiem, które to remedium, jak wyczułam, stosował już wcześniej. Był naprawdę uważny i sprawny i potrafił przedłużać stosunek tak długo, jak chciałam, a nawet dłużej, tak długo, że nie mogłam tego wytrzymać. Mimo moich starań jego orgazmy były ulotne i zaczęłam podejrzewać, że pragnie, bym coś powiedziała lub zrobiła. Nie wyjawiał, co by to mogło być. Co więcej, utrzymywał, że nie ma o czym mówić. Nie wierzyłam mu. Chciałam, by miał tajemne i wstydlive pragnienia, które tylko ja potrafię zaspokoić. Chciałam, by ten greczny, wyniosły mężczyzna należał tylko do mnie. Czy miał ochotę zlać mnie po pupie, względnie żebym ja zlała jego? Czy chciał przymierzyć moją bieliznę? Ta zagadka nie dawała mi spokoju, gdy mi nie towarzyszył, i tym trudniej było mi przestać o nim myśleć, kiedy powinnam koncentrować się na matematyce. Colette była moją ucieczką.

Pewnego popołudnia na początku kwietnia, po sesji ze złożonym ręcznikiem w pokoju Jeremy’ego, przechodziliśmy

przez ulicę przy starej Giełdzie Zbożowej, ja odczuwając błogość i powiązany z nią ból naciągniętego mięśnia grzbietu, a on... no cóż, tego nie mogłam być pewna. Zastanawiałam się, czy znów poruszyć ten temat. Jeremy zachowywał się sympatycznie: trzymał mi rękę na ramieniu i opowiadał o swoim esejku na temat Izby Gwiazdzistej. Byłam przekonana, że się nie zaspokoił. Wydawało mi się, że wyczuwam napięcie w jego głosie i nerwowym kroku. W tej epoce seksu nie miał ani jednego orgazmu. Chciałam mu pomóc i byłam autentycznie zaciekawiona. Poza tym niepokoiła mnie myśl, że być może sprawiam mu zawód. Podniecałam go, to nie ulegało wątpliwości, ale może niedostatecznie mnie pożądał. Kiedy mijaliśmy Giełdę Zbożową w wilgotnym chłodzie wiosennego zmrzchu, ręka kochanka otulała mnie niczym futro z lisa, a moje szczęście zakłócało jedynie lekkie ćmienie w mięśniach oraz — może trochę bardziej — zagadka pragnień Jeremy'ego.

Nagle z bocznej alejki wyszedł, ukazując się nam w przyćmionym świetle ulicznej latarni, promotor Jeremy'ego, Tony Canning. Kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni, przytrzymał moją dłoń, jak mi się zdawało, o wiele za długo. Niedawno skończył pięćdziesiąt lat — był w wieku mojego ojca — i wiedziałam o nim tylko to, co powiedział mi Jeremy. Był profesorem i przyjaźnił się niegdyś z ministrem spraw wewnętrznych Reggie Maudlingiem, który stołował się w jego kolegium. Dwaj mężczyźni pokłócili się pewnego razu przy zakrapianej kolacji o politykę internowania bez procesu w Irlandii Północnej. Profesor Canning przewodniczył poza tym komisji zabytków historycznych, zasiadał w różnych

ciałach doradczych, był członkiem zarządu British Museum oraz autorem wysoko cenionej monografii o kongresie wiedeńskim.

Był jednym z wielkich tego świata, z którymi miałam już nieco do czynienia. Mężczyźni jego pokroju przychodzili czasami do naszego domu, by odwiedzić Biskupa. W okresie, który nastąpił po latach sześćdziesiątych, grali oczywiście na nerwach każdemu, kto nie skończył dwudziestu pięciu lat, ale ja chyba ich lubiałam. Potrafili być uroczy, nawet dowcipni, a snujący się za nimi zapach brandy i cygar sprawiał, że świat wydawał się uporządkowany i bogaty. Mieli o sobie wysokie mniemanie, ale nie byli chyba nieuczciwi i cechowało ich, lub sprawiali wrażenie, że tak jest, silne poczucie służby publicznej. Traktowali poważnie swoje przyjemności (wino, jedzenie, wędkowanie, brydż i tak dalej) i niektórzy z nich odegrali, jak się wydaje, ciekawą rolę podczas wojny. Pamiętałam Boże Narodzenia, kiedy ten czy inny dawał mnie i siostrze po dziesięcioszylingowym banknocie. Tacy ludzie mogli rządzić światem. Inni byli o wiele gorsi.

Canning nie był szczególnie wyniosły, być może z racji dość skromnych funkcji publicznych, które pełnił. Zauważyłam, że ma falujące włosy, wilgotne, pełne wargi oraz mały dołeczek pośrodku podbródka, który wydał mi się uroczy, ponieważ nawet w przyćmionym świetle latarni dostrzegłam, że niełatwo było mu zgolić w tym miejscu zarost. Z pionowej bruzdy w skórze sterczały niesforne ciemne włoski. Był przystojnym mężczyzną.

Kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni, zadał mi kilka pytań. Były grzeczne i dość niewinne — o mój dyplom, Newnham,



kierownika wydziału, który był jego dobrym znajomym, moje rodzinne miasto i katedrę. Jeremy wtrącił się na chwilę do rozmowy, a Canning przerwał mu, żeby podziękować za to, że pokazał mu moje trzy ostatnie artykuły w „?Quis?”.

— Cholernie dobre teksty — stwierdził, znów zwracając się do mnie. — Masz prawdziwy talent, moja droga. Zamierzasz zostać dziennikarką?

„?Quis?” było studencką gazetką nieskierowaną do poważnego czytelnika. Pochwała sprawiła mi przyjemność, ale byłam zbyt młoda, by wiedzieć, jak ją przyjąć. Wymamrotałam coś skromnie, ale zabrzmiało to nieco lekceważąco, w związku z czym próbowałam niezgrabnie zatrzeć złe wrażenie i oblałam się rumieńcem. Profesor ulitował się nade mną i zaprosił nas na herbatę, a my, czy też sam Jeremy, przyjęliśmy zaproszenie. Zawróciliśmy więc i ruszyliśmy z Canningiem przez targ w stronę kolegium.

Jego pokój był skromniejszy i bardziej obskurny, niż się spodziewałam, i zaskoczona odkryłam, że nie najlepiej idzie mu robienie herbaty: niedokładnie obmył masywne, pokryte brązowym osadem kubki, a potem zalał papiery i książki wodą z brudnego czajnika elektrycznego. Ta nieporadność nie pasowała do tego, czego dowiedziałam się o nim później. Zasiadł za biurkiem, my w fotelach, i znowu zaczął zadawać pytania. Zupełnie jak na seminarium. Pogryzając czekoladowe herbatniki Fortnum & Mason, czułam się zobowiązana odpowiadać bardziej wyczerpująco. Jeremy zachęcał mnie, kiwając głupio głową, cokolwiek powiedziałam. Profesor pytał o moich rodziców i jak mi się dorastało „w cieniu katedry” — na co odrzekłam, jak mi się wydawało, dowcipnie, że cienia

nie było, bo katedra stała na północ od domu. Obaj mężczyźni roześmiali się i zastanawiałam się, czy mój żart nie ma jakichś ukrytych znaczeń, których nie byłam w stanie pojąć. Przeszliśmy do broni nuklearnej i apeli laburzystów o jednostronne rozbrojenie. Powtórzyłam przeczytane gdzieś sformułowanie — jak zorientowałam się później, komunał — „Nie da się wsadzić dżina z powrotem do butelki”. Bronią nuklearną trzeba zarządzać, a nie jej zakazywać. Tyle, jeśli chodzi o młodzieńczy idealizm. Właściwie nie miałam żadnych poglądów na ten temat. W innym kontekście mogłabym opowiedzieć się za nuklearnym rozbrojeniem. Pewnie bym się do tego nie przyznała, ale starałam się zadowolić, udzielać właściwych odpowiedzi, być interesująca. Podobało mi się to, jak Tony Canning pochylał się do przodu, gdy mówiłam, jak zachęcał mnie aprobującym uśmiechem, rozciągając swoje pełne wargi, lecz prawie ich nie rozchylając, jak mówił „rozumiem” albo „jasne...” za każdym razem, kiedy milkłam.

Być może powinnam się była domyślić, do czego to wszystko zmierza. W małym cieplarnianym świątku studenckiego dziennikarstwa objawiłam się jako Rycerz Zimnej Wojny. Teraz to chyba oczywiste. Byliśmy w końcu w Cambridge. W jakim innym celu miałabym relacjonować to spotkanie? W tamtym momencie nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Szliśmy do księgarni i zamiast tego zostaliśmy zaproszeni na herbatę przez promotora Jeremy’ego. Nie było w tym niczego dziwnego. W tamtym okresie metody werbowania zaczynały się zmieniać, ale działało się to powoli. Zachodni świat mógł przechodzić gruntowną przemianę, młodym mogło się wydawać, że odkrywają nowe sposoby wzajemnej komunikacji,

o starych barierach mówiono, że wałą się w gruzy. Nadal jednak obowiązywała słynna zasada „pomocnej ręki na ramieniu”, choć może nie tak często i może z mniejszą presją. Na wyższych uczelniach pewni profesorowie nadal szukali obiecującego narybku i przekazywali nazwiska do rozmowy kwalifikacyjnej. Osoby, którym udało się dostać do służby cywilnej, często brane były na bok i pytane, czy myślały o „innym departamencie”. Najczęściej zwracano się do ludzi, którzy otarli się już o szeroki świat. Nikt nie musiał mówić tego na głos, ale nadal ważne było pochodzenie i to, że miałam w rodzinie biskupa, przemawiało raczej na moją korzyść. Często zwraca się uwagę, jak długo w przypadku Burgessa, Macleana i Philby’ego trwało pozbycie się przekonania, że osoba należąca do pewnej klasy będzie bardziej lojalna wobec kraju niż inne. W latach siedemdziesiątych nadal pamiętano o tych zdradach, ale trzymano się starych metod werbunku.

Generalnie, zarówno ręka, jak i ramię, należały jednak do mężczyzn. Rzadko kiedy zwracano się do kobiet w ten często opisywany, uświęcony tradycją sposób. I chociaż jest prawdą, że do MI5 zwerbował mnie w końcu Tony Canning, jego motywy były złożone i nie miał oficjalnej sankcji. Jeśli liczyło się dla niego to, że byłam młoda i atrakcyjna, nie od razu można było sobie uświadomić cały tragizm tego faktu. (Teraz, kiedy lustro mówi coś innego, mogę to powiedzieć i więcej do tego nie wracać: byłam naprawdę ładna. Nawet więcej. Jak napisał Jeremy w jednym ze swoich rzadkich wylewnych listów, byłam „właściwie raczej śliczna”). Nawet siwobrodzi bonzowie z piątego piętra, których w trakcie mojej krótkiej

służby widywałam rzadko i nigdy bliżej nie poznałam, nie mieli pojęcia, dlaczego mnie do nich przysłano. Asekurowali się, jak mogli, ale nigdy nie wpadli na to, że profesor Canning, sam też stary wyga MI5, uważał, że robi im prezent w duchu ekspiacji. Jego przypadek był bardziej złożony i smutniejszy, niż ktokolwiek zdawał sobie sprawę. Szykując się do podróży, z której nie miał nadziei wrócić, zmienił moje życie i zachował się z bezinteresownym okrucieństwem. Jeśli nawet dzisiaj wiem o nim tak mało, to dlatego, że towarzyszyłam mu w niej bardzo krótko.

